



AŁBENA  
GRABOWSKA  
MATKI  
I CÓRKI

AUTORKA STULECIA WINNYCH

MARGINESY

Ojciec zmarł przy moim porodzie czterdzieści lat temu. Wyszedł po papierosy, bo nie mógł znieść jęków matki dochodzących zza zamkniętych drzwi porodówki, i wpadł pod samochód. Czy zginął przez nadmierną wrażliwość, czy też przez jej brak? Nie wiem. Pewne jest tylko to, że wraz z nim bezpowrotnie odszedł ostatni pierwiastek męski z naszego domu.

Gdy nieświadomy kierowca uderzył w mojego ojca, wyrzucając jego ciało na kilka metrów w górę i pozbawiając je butów, moja matka zaczęła odczuwać bóle partę. Wskoczyłam po jednym skurczu niczym korek, tak że ledwo mnie złapali. Słyszałam to w każde urodziny. Dziwne, że szturmowałam matczyne korytarz przez czternaście godzin, a wyszłam na świat w czternaście sekund. Południe, powiedział lekarz, który przyszedł mnie zbadać. Taki wpisał czas urodzenia.

Dwunasta, wpisał milicjant w akt zgonu, skoro kierowca zapewniał, że kiedy ojciec uderzył w maskę, właśnie grali w radio hejnał. Swoją drogą, to dziwne zginąć w południe, dodał. Godzina dobra jak każda inna, powiedział lekarz, którego wezwano na miejsce, chociaż nie miał już nic do roboty. Nie musiał ratować życia czy coś takiego. Ja tam się cieszę, że nie czwarta nad ranem. To najgorsza godzina na umieranie, burknął jeszcze, mimo że milicjant go nie słuchał. To też mi opowiadano każdego roku i aż do tej chwili nie przyszło mi do głowy pytanie: skąd o tym wiecie, przecież nie było was przy tym. „Wy” to moja matka, babcia i prababcia.

Co rozumiały, przekazanie matce hiobowych wieści stanowiło nie lada kłopot. Mną się nie przejmowano, co mnie nie dziwi. Tkwiłam w beciku i nie czułam smutku. Może poród mnie zmęczył, nie pamiętam. W opowieściach rodzinnych mało wspomniano na ten temat. Może dlatego, że tamta chwila była prawdziwa, a nie wymyślona, jak gadki o hejnale i komentarz lekarza od zgonu. Powiedziały mi tylko, że przekazano mamie wiadomość szybko, krótko. Zaraz ją wzięli na fotel i zwieźli, żeby zidentyfikowała okaleczone ciało mojego ojca.

Co działo się „po drodze”, mogę się tylko domyślać. Pewnie sięgnęły do jego kieszeni po dokumenty, odczytali imię i nazwisko, adres. Rzecz działa się pod szpitalem. Czy któryś ze zgromadzonych tragediopijców nie krzyknął przypadkiem: ten gość wybiegł na chwilę po fajki? Jego żona rodzi już czternastą godzinę, chciał chłop sobie zapalić. Inny może dodał: widziałem całe zdarzenie, wtargnął na jezdnię. Kierowca nie miał szans. Wtedy szofer mógł odetchnąć z ulgą: tak, tak, normalnie wskoczył mi przed maskę, nawet nie zahamowałem. Mogło się tak zdarzyć. Albo i nie. Nie wiem tego. I nigdy się nie dowiem.

Matka niewiele pamięta albo tak tylko twierdzi. Względnie nie chce pamiętać lub wypiera. W rozmowach ze mną używała stwierdzeń „obuchem w głowę”, „czułam targającą mną rozpacz”, ale to dopiero wiele lat później i też na odczepnego. Na podstawie własnych doświadczeń mogę tylko przypuszczać, że usadzenie jej na fotelu kilka minut po porodzie i zwieźlenie klekoczącą windą musiało być torturą. Nie musiała udawać cierpienia. Czy była jednak zaskoczona? Może ją zaskoczył swoją śmiercią, może tylko zasmucił. Kto to wie. Nie wiem, jaki był, i nigdy się nie dowiem. Człowiek przeżuty przez wspomnienia innych się nie liczy. Jest tylko nieistniejącą fotografią, słowami, które przeinacza pamięć, zapachem, który nie dotarł do nozdrzy. Nikim. Jakby nigdy nie istniał.

Babcia mi mówiła, że wszyscy zastanawiali się, czy jestem pogrobowcem czy też nie. W tamtych dniach to była najważniejsza kwestia. Skoro urodziłam się w chwili śmierci ojca, to jak mnie nazwać? Sierotą? Zbyt proste. Na pogrzebie spierano się o to, a ja ponoć przysłuchiwałam się z zainteresowaniem. Nie wierzę, bo nie pamiętam. Pamiętam tylko to, w co wierzę. Tak mam. Uważam, że nie jestem ani pogrobowcem, ani przedgrobowcem, tylko śmierciochwilą. Dosadnie, ale taka prawda. Stąd właśnie, znikąd inąd, bierze się moja melancholia, zwana depresją, której nie mogą uleczyć żadne lekarstwa ani skłonność do wdawania się w romanse, „jakby jutra miało nie być”. Zwyczajna ludzka tęsknota za ojcem, który nie nauczył mnie jeździć na rowerze, tak jak ojcowie innych dzieci.

Ojciec istniał w rodzinie jedynie do chwili pogrzebu. Przez kilka pierwszych dni matka przeżywała męki, musiała zamienić jedną najbliższą sobie istotę na inną. Ta inna to oczywiście ja. Dużo ją to kosztowało, straciła na przykład pokarm. Szkoda, powiedziała położna w szpitalu. Pani mleko było wyjątkowo tłuste. Dziewuszka by się spasała, że hej. Może to i dobrze w takim razie, bo się nie spasałam. Całe życie pozostawałam szczupłą, chociaż mogę zjeść wszystko.

Wiele lat później wymyśliłam sobie, w czym wspierały mnie babcia i prababcia, że na pogrzebie ojca grali na skrzypcach. Matka kręciła przecząco głową. Skąd ten pomysł? A właśnie że tak, mówiła prababcia, stara, sucha i niedomagająca. W radio było, wyciągała sękaty palec. W telewizji raczej, poprawiała babcia, patrząc na własną matkę z dezaprobatą. Matka kręciła głową i mówiła, że tego dnia nie włączali w domu telewizji. Nawet radio nie grało. Zresztą mama nie lubi, żeby coś grało, prawda? A babcia nie słyszy, dodawała. Mama się nie patyczkowała z własną matką i babką, a one nie użalały się nad jej wdowieństwem. Obie wydumały, żeby ojca pogrzebać szybko, zanim mama wróci ze

szpitala z dzieckiem. Chciały jej oszczędzić cierpień. To byłoby łatwe do zrealizowania, bo ojciec nie miał rodziców, dziadków ani innych krewnych. Ojciec wychował się w domu dziecka. Prababci to przeszkadzało, mamie i babci nie. Prababcia mówiła, że rodzina jest bardzo ważna, a gdy jej nie ma, to nie wiadomo, co to za człowiek. Babcia zaś mówiła odwrotnie. Że jak człowiek rodziny nie ma, to nie może zrucać (tak mówiła: „zrucać”) wszystkiego na ojca, że całe dni pracował, albo na matkę, że utyrana. Tak też mówiła: „utyrana”. O ojcu nikt nic nie wiedział, tylko że go oddali do „okna życia”, to nawet romantyczne, że do „okna życia”. Pewnie jakaś nastolatka go urodziła i tak się biedulka pozbyła. Ja uważam, że to w porządku, wiadomo, mogła w beczkach po kapuście utopić albo w lesie zakopać, a w ten sposób dał życie mnie. Szkoda, że tylko życie.

W każdym razie tak obie wydumały, że pogrzeb powinien odbyć się szybko, żeby matka nie widziała. Ona jednak je przechrzyła. Skoro mogła chwilę po porodzie z krwawiącym kroczem i w szlafroku podejść do zwłok i oświadczyć, że „tak, to jest mój mąż, Marcin Okiennik”, to przyszła i na pogrzeb. Tak się nazywał. Marcin, ze względu na to, że oddano go w Dzień Świętego Marcina, a Okiennik – to oczywiste. Babcia i prababcia mówiły, żeby ojciec przybrał nazwisko matki, Mierzejska, ale ona tylko się skrzywiła. Nie obchodziło jej nazwisko. Prababcia była tradycjonalistką. Uważała, że nasze nazwisko jest więcej warte niż jakieś tam nadane przez siostrę zakonną. A po śmierci ojca namówiła matkę, żeby powróciła do nazwiska rodowego.

Tak, miałam prababcę do dwunastego roku życia. Umarła nagle w pełni władz umysłowych. Szybko i bezboleśnie. Też bym tak chciała.

Co do samego pogrzebu, to matka wiele nie opowiadała, chociaż pytałam. Tylko że to dla niej stanowiło „koniec pewnej epoki”. Babcia dodawała, że epoka należała raczej do tych lodowcowych,

a prababcia oburzała się i wygrażała palcem, sycząc: „Ssabinka, ty tak nie mów. Nie przy Madzi, która owdowiała, i nie przy Lilce, która jest, wiesz kim”. Ja też wiedziałam. Pogrobowcem według nich. Śmierciochwilą według mojej nomenklatury.

Nie nazywam się Lilka, tylko Paulina. Okropne imię i trudne do wymówienia. Dlatego skraciałam je sobie do Linka, a z czasem, kiedy odkryłam, co to jest owa linka, uparłam się, żeby mówiły Lilka. Prababcia się krzywiła, babcia twierdziła, że to zupełnie jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, jej ulubiona poetka. Ona też nazywała siebie Lilka. Tylko z innych powodów. Marylka, Lilka. Ja – Linka, Lilka. Mam dużo samogłosek w imieniu, a mimo to źle się je wymawia. Dzieci w szkole zwracały się do mnie Paula. Jak aula. Nieważne. Lilka pogrobowiec. Sierota, bo ojca nie ma, ale grunt, że ma matkę. Tak o mnie mówili w szkole. Ja wiedziałam, że matka to nie wszystko. Miałam jeszcze babcię i prababcię. To dopiero jest багаż.

Z chwilą, w której ojca złożono do grobu, umarł nie tylko dla mnie, ale także dla trzech pokoleń kobiet. Tak całkowicie. Mający duch pojawiał się, kiedy byłam mała, straszyl cicho i znikał na długo. Co zdumiewające, nie we wspomnieniach, ale w niedokonanej przyszłości. Ojciec chodziłby z tobą na spacer, Lila, mówiła babcia. Spacer są dobre dla dziecka. Dziecko powinno chodzić. Ale co też mama z tym chodzeniem, myślałby kto, przerywała jej moja matka i patrzyła znacząco, a babcia robiła minę „ale co ja takiego powiedziałam?”. Ojciec by nie pozwolił, żebyś spała z zapaloną lampką, twierdziła prababcia, zwolenniczka zimnego chowu dzieci. Ojciec by się cieszył, że ma córkę, dodawała matka, ucinając komentarze swojej matki i babki. Tych wiadomości nie dało się zweryfikować, chociaż próbowałam. Na przykład wtedy, jak zapragnęłam psa. Przekonywałam, że ojciec na pewno zgodziłby się, żebym przygarnęła kundelka i chodziła z nim na spacer. Babcia patrzyła na mnie zdumiona. Skąd ten pomysł, py-

tała. No, skoro chodziłby ze mną na spacer, to na pewno z psem też, więc chciałby, żebym wzięła psa, tłumaczyłam. Akurat, wzruszała ramionami. Nie ma mowy. Prababcia nie wzruszała, bo była ze starej szkoły, a takie gesty uważała za niegrzeczne. Jej z kolei mówiłam, że ojciec na pewno bał się ciemności. Niby dlaczego, pytała. Ano dlatego, że ja się boję ciemności, a mama nie. To jest dziedziczne, więc muszę to mieć po tacie. Bzdury, słyszałam. Mamę pytałam tysiące razy, czemu tata cieszyłby się, że jestem dziewczynką. Wszyscy ojcowie chcą chłopców, żeby z nimi grać w piłkę, naciskałam, zaglądając jej w oczy. Twój ojciec nie lubił piłki nożnej, odpowiadała. To mnie w nim ujęło. Cóż to musiał być za człowiek, skoro nie lubił piłki nożnej. Ja lubię, ale ukrywam to starannie. Dlatego nie wierzę, że on nie lubił. Wszyscy mężczyźni lubią piłkę nożną. Zajęta piłką nożną za każdym razem odchodziłam od meritum, czyli dlaczego ojcu akurat odpowiadałaby córka. Mama mi nie pomagała, tylko wykręcała się, jak mogła. Bo nie lubił piłki. Bo lubił dziewczynki. Bo chciał mieć córkę. Bo chłopcy rozrabiają, a on był taki spokojny. No cóż. Udawałam, że wierzę. Z czasem tylko ja przywoływałam go w pamięci, której przecież nie mogłam posiadać. Wydawało mi się, że nie mogę pozwolić mu całkiem umrzeć, i muszę, ale to muszę pytać o niego co i raz. Matka, babcia i prababcia nie podzielały mojego zdania. Mimo moich wysiłków ojciec umierał coraz bardziej. Znikał z każdą minioną godziną. Zdania o nim były coraz krótsze, emocje w nich zawarte blakły z szybkością światła, wspomnienia nie ewoluowały, ponieważ zupełnie się zatarły. Kiedy poszłam do szkoły podstawowej, ojciec już całkiem nie żył. Jak wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie.

Dziadek, pradziadek... Umierali młodo, całkiem i do końca. Żadnych portretów na ścianach. Jedynie okryte bladą bibułą pojedyncze zdjęcia w albumach. To za mało. Zwłaszcza jeśli za każdym razem, na prośbę „obejrzyjcie ze mną album”, słyszałam

„nie ruszaj, bo jest stary, zniszczy się, paluchami pobrudzisz”. Potłuścisz, mówiła babcia, ona zawsze mówiła inaczej niż wszyscy. „I po co ci to wiedzieć? Młodo umarł. Tyle”. Prababcia nie mogła nie wtrącić swoich trzech groszy. „Jakby żył, toby był”. Jak tu nie umrzeć przy takim nastawieniu?

Ojciec stał na z góry straconej pozycji. Miał tylko mnie, a ja nie mogłam mu pomóc. Nawet matka postawiła na nim krzyżyk. Chociaż nawet nie był to krzyżyk, tylko wmurowana tablica na cmentarzu, z imieniem i nazwiskiem, małym wrytym krzyżem i datą śmierci. Tyle z niego zostało. Umierał w niepamięci, aż całkiem umarł, i ja nic nie mogłam poradzić. One we trzy, ja jedna, w dodatku bez wspomnień. Trzy pokolenia starszych ode mnie kobiet, moich przodkiń, tak długo ukrywały przede mną wspomnienia, że wreszcie przestałam walczyć. Czułam się tak jak w tym filmie: bohaterka budzi się zrozpaczona, gdyż zmarł jej synek, a wszyscy dokoła wmawiają jej, że nigdy nie miała dzieci. Albo jak inna filmowa bohaterka, która utraciwszy pamięć, codziennie dowiaduje się, że człowiek, z którym sypia i mieszka, jest jej mężem. Potem okazuje się, że została oszukana, ale to nie jest już moja pointa. Puściłam w końcu jego wyobrażoną rękę, spadł do krainy niepamięci, cicho, bez krzyku. Żałuję po dziś dzień. Przodkinie zatriumfowały. Wszystek umarł. Odszedł całkiem. W proch pamięci się obrócił. Podzielił los dziadka i pradziadka. Oni także umarli z chwilą śmierci. Zniknęli z naszego kobiecego domu niczym goście, którzy odwiedzali nas czasem w niedzielne popołudnia. Nie obiecywali, że znów wrócą. Może te wizyty uznali za nieudane, dlatego nie doszło do ponownych odwiedzin?

Zupełnie inaczej miała się sprawa z kobietami w naszej rodzinie. One z chwilą śmierci zaczynały żyć życiem podwójnym, a czasem nawet potrójnym. Oprócz ich wyczuwalnej nieustannej obecności, jakby nigdy nie opuściły ulubionego fotela (prababcia)



albo krzesła w kuchni (babcia), trwały na zdjęciach powywieszanych na każdym wolnym skrawku ściany i we wspomnieniach. Jadły z nami obiad, popijały sok malinowy, oglądały telewizję, śpiewały kolędy. Martwe były bardziej żywe niż za życia. Straszne, gdy człowiek zda sobie z tego sprawę.

Obie, babcia i prababcia, umarły w ciągu miesiąca, pogrążając moją matkę w głębokiej żałobie, znacznie głębszej niż po moim ojcu. Chociaż wiem, że to tylko moja interpretacja. Nie mogę porównać tych cierpień.

Mam czterdzieści lat i słowo „ojciec” nie znaczy dla mnie nic. Jest w każdej mojej komórce jako dawca materiału genetycznego, ale nie czuję go w sobie. Jako psycholog wiem, że dzieworództwo jest niemożliwe. Niepokalane poczęcie także nie, nie w przypadku matki, która może specjalnie grzeszna nie była, ale święta również nie. Nie ma innych możliwości. Musiałam mieć ojca, ale teraz mam tylko matkę. Drugą połowę genów musiały zatem dać mi babcia i prababcia. Musiały znaleźć jakiś sposób, żeby precyzując się do moich genów i zdominować je swoim dziedziczeniem. Potem zabiły ojca. Czarami, żeby wpadł pod samochód, a potem obojętnością, żeby wyblakł. Przez nie jestem tylko kobietą. To przerażające.

Wracając do śmierci: to prababcia umarła pierwsza. Siedziała sobie w fotelu, oglądała program przyrodniczy i zasnęła w Panu. Tak napisano w nekrologu, chociaż ostatni raz była w kościele w dzień pogrzebu ojca. Zatem zasnęła w Panu, oglądając pingwiny na Półwyspie Antarktycznym. Lubiła wszystkie programy przyrodnicze, te o zimnych krajach nie mniej niż o ciepłych, chociaż prawdziwej zimy nie znosiła. Pingwiny lubiła na równi z pelikanami, srokami, sikorkami, kolibrami czy papugami. Tundra się jej podobała, ponieważ „nie trzeba by było pielic tych krzaczków”. Dżunglę nazywała „borem tropikalnym”, co mnie rozśmieszało, chociaż ona mówiła poważnie. Pustynia wydawała się jej piękna,

„bo nie padał tam nigdy śnieg”. To ja ją znalazłam. Od razu się zorientowałam, że nie żyje, ale nie powiedziałam matce, która przepisywała prace zlecone na maszynie i prosiła, żeby jej nie przeszkadzać. Gdzie poszła babcia? Chyba z wizytą do znajomej, która miała życiowe problemy i chciała się zwierzyć. Siadłam sobie na stołeczku koło prababci i zaczęłam z nią rozmawiać. Miałam nad nią tę przewagę, że ona nie żyła, co ja swoim dziecięcym umysłem pojmowałam doskonale. Czułam satysfakcję. Wiedziałam, że tym razem to ona jest na straconej pozycji.

– Te pingwiny umierają, widzisz? – zagadnęłam.

– Skąd ten pomysł, głupie dziecko? – odpowiedziałam w jej imieniu.

Ona by tak powiedziała. No, może nie dodałaby „głupie”. A może tak.

– A stąd, że wody są zanieczyszczone – powtórzyłam za lektorką. – Rokrocznie giną tysiące pingwinów. Głównie śmierć spotyka je z powodu braku pożywienia, ryb jest bowiem w tych stronach coraz mniej... Ale umierają też po połknięciu plastiku lub po uwięzieniu w nim...

Ostatnie zdanie wypadło niezręcznie, gdyż nie pamiętałam, jak określiła to lektorka. Prababcia wyglądała na zmieszaną. Chyba była wrażliwa. Każdy by się wzruszył. Szczególnie widok małego pingwinka, który umrze z głodu, bo jego rodzice zaczepili się o plastikowe beczki wyrzucone do oceanu i utopili, tak mnie poruszył, że zapomniałam o śmierci prababci. Właściwie miałyśmy remis. Nie żyła ona i nie żyli rodzice pingwinka. Zaraz i pingwinek powiększy grono umarłych. Biorąc pod uwagę, że należało pojechać na Półwysep Antarktyczny, aby film nakręcić, wrócić (z Antarktydy jest daleko), zawieźć rolkę do wysokiego gmachu z napisem „Telewizja Polska”, poczekać na emisję... Pingwinek już na pewno nie żył. Zdałam sobie sprawę, że prababcia go przeżyła. Rozzłościło mnie to.

– Dlaczego nie chodzisz nigdy na spacery, a oglądasz przyrodę w telewizji? – spytałam złośliwie.

– Teraz będę się przechadzała wśród niebieskich łąków – odpowiedziała prababcia.

– Zabiłaś mojego ojca. Sądzisz, że pójdziesz do nieba?

– Nie zabiłam – odpowiedziała szybko. – Nie jego...

To mnie zastanowiło. Długo później analizowałam tę propagację swojej podświadomości. Ojca nie zabiła. Nie jego. Zatem kogo?

Babcia wróciła pierwsza i zastała mnie koło prababci. Trochę to trwało, zanim pojęła, że nie ma już matki. Krzątała się i gadała coś w stylu: tak sobie siedzicie, oglądacie, bardzo dobrze, zaraz zrobię obiad. Lila, mam nadzieję, że nie jesteś bardzo głodna. No spóźniłam się, bo ta Danką... Z tą Danką to jest naprawdę kłopot. Syna ma jednego, wyjechał na saksy i ona, ta Danką, myślała, że pieniądze do domu będzie przysyłał. Słyszysz, mamó? Wiesz, kogo mi to przypomina? Darmozjad i kompletnie nieodpowiedzialny młody człowiek. Nie dość, że nie przysyła, to jeszcze jej grosiny zabiera i ona musi mu posyłać. Albo kłamie, że ma pracę, albo na dziw... kobietę ma jakąś, czy co. Dziewczynę może. I nie wiem, czy dobrze zrobiłam, mamó, wiesz, jaka Danką jest, ale kazałam jej przestać mu pieniądze posyłać. Wyobraź sobie, że ona mnie chciała łańcuszek złoty sprzedać, żeby mu dolary kupować. No cóż za pomysł. Mamó, mamó?

Babcia podeszła do nas, ale tak, że widziała jedynie moją twarz, a prababci tylko bok.

– Co wy tak siedzicie, Lilu, co?

– Oglądamy sobie film o pingwinach – powiedziałam. – Od zanieczyszczeń to tylko ja oglądam, a prababcia już nie...

To było bezczelne, ale babcia nie zwróciła na moje słowa najmniejszej uwagi, tylko podeszła do swojej matki, a potem pobiegła do mojej matki. I się zaczęło. Odsunęły mnie, przytu-

liwszy pierwej, i zaczęły lamentować, krzyczeć „mamusiu”, „babusi” i płakać, jakby prababcia nie żyła dokładnie stu lat. Osobiście uważałam, że po pierwsze, pięknego wieku dożyła, a po drugie, śmierć miała dobrą. Ksiądz na religii mówił o tym, przy zbieraniu serduszek na dziewięć pierwszych piątków miesiąca. Zebrałam wszystkie, bo chciałam, żeby moja śmierć była dobra. Ksiądz wprawdzie mówił, że dobra śmierć to taka po spowiedzi i komunii, ale ja wiedziałam swoje. Dobra śmierć to taka, która nie boli. Prababci nie bolało.

– Idź, Lilu, do siebie, pomódl się za duszę babci. – Obie mnie popychały, chociaż ja się nie bałam, prababcia wyglądała bowiem jak żywa. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że są tacy ludzie, którzy po śmierci wyglądają jak żywi, są wiecznie żywi i będą nawiedzać żywych. Ponownie przypomniał mi się martwy ojciec, którego nie mogłam pamiętać. Wtedy zrobiło mi się smutno. Poszłam jednak do pokoju, położyłam się na haftowanej kapie i wzięłam do ręki *Witaj, Karolciu*. Może to nie była stosowna lektura na takie popołudnie, ale po pierwsze, pozwalała przytłumić głód (obiadu już się nie doczekałam), po drugie, zagłuszyć krzyki „zostałam bez mateńki mojej”. Gdybym miała wtedy błękitną kredkę, tobym prababci narysowała elegancką trumnę. Ucieszyłaby się.

Babcia zmarła miesiąc później. Nie miała dobrej śmierci. Może nie odbyła dziewięciu pierwszych piątków miesiąca? Nie zasnęła w Panu, tylko udusiła się w paroksyzmach rżężeń. Też przy mnie. Niestety. Robiła mi sweter na drutach, przecież nic ładnego nie można było dostać, a ja jadłam na podwieczorek ciasto z czekolady czekoladopodobnej na jednym kryzysowym jajku. Odłożyła druty, zrobiła taką dziwną minę i zaczęło się. Kilka minut, które wydawały mi się wiecznością, trzymała się za szyję, wybałuszała oczy, wystawiała język, świszczała... Wreszcie znieruchomiała, a ja dojadłam w spokoju ciasto, zerkaając na zamknięte

drzwi pokoju mamy, za którymi znów stukała na maszynie, ponieważ wzięła prace zlecone na święta.

Z babcią też chciałam porozmawiać, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Nie chciałam tak od razu o ojcu, jeszcze by się przebudziła. Nie byłam pewna, czy całkiem umarła.

– Dlaczego zabiłyście tatę? – spytałam tradycyjnie, kiedy stukanie ucichło i przestraszyłam się, że już niczego się nie dowiem.

– Taty nie zabiłam – powiedziała, i to znów mnie zastanowiło.

Miałam już pewność, że kogoś zabiły. Nie ojca, ale niewątpliwie kogoś zabiły, skoro po śmierci przyznają się do tego.

– A kogo? – zapytałam.

– Nie twoja sprawa, głupie dziecko – odpowiedziała.

Wiem, że mam rację. Już ja się wszystkiego dowiem. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła matka z całym plikiem kartek w rękę. Na widok martwej babci upuściła je wszystkie. Rozsypały się na podłogę. Nie wiedziałam, czy od razu pomóc jej zbierać czy dopiero za chwilę.

– Czy ponumerowałaś kartki? – spytałam roztropnie, dobre i bystre dziecko.

– Nie mam już mateńki – wyszeptała i usiadła daleko od nas, na kanapie. Zakryła twarz rękoma i zaczęła przeraźliwie płakać. Ja zjadłam ostatni okruszek, bo już wiedziałam, że w takie dni jedzenia nie będzie, co najwyżej kolacja, i to też sucha, i zaczęłam zbierać rozsypane kartki. Z zadowoleniem zauważyłam, że strony są jednak ponumerowane. Musiała zrobić to mimowolnie. Nie wiedziała przecież, że babcia umrze i praca zlecona się rozsypie. Wtedy po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie istnienie podświadomości.

Przyjechał lekarz z pogotowia ratunkowego. Bardzo chciałam opowiedzieć o tych rzężeniach babci, ale nikogo to nie interesowało.

– Babcia wyglądała, jakby ją otruli – oznajmiłam czystym głosem. – Niczym Królewna Śnieżka, kiedy zjadła kawałek jabłka od złej czarownicy.

Szlochająca matka zgromiła mnie wzrokiem.

– Ależ ty masz fantazję, panienko – powiedział zmęczony lekarz.

Czemu był taki niewyspany, przecież nie działo się to w środku nocy?

– Babcia zaczęła się dusić i zrobiła się blada, a potem niebieska – wycodziłam.

To też go nie ruszyło. Dziś zastanawiam się, czemu nie zwrócił uwagi na moje słowa. Przecież mówiłam o potencjalnym morderstwie.

– Twoja babcia miała zawał serca – wyjaśnił w końcu, przystawił pieczętkę i wstał. – Tak wygląda człowiek z zawałem serca.

Tak wygląda człowiek, którego otruli. Już ja swoje wiedziałam. Dokonałam kolejnego odkrycia. Jeśli ktoś nie jest zainteresowany, to możesz mu wciskać brylanty, a i tak nie spojrzysz.

– Lilu... – Matka objęła mnie po wyjściu lekarza. – Zostałyśmy same.

Nie zostałyśmy same. Obok siedziała babcia patrząca na nas groźnie. Swetra pewnie mama mi nie dokończy, trudno. I tak mi się nie podobał. Granatowy, co któryś rządkiem miał odwrócony ścieg. Nie był ani ładny, ani miły w dotyku.

– Nie zostałyśmy same – powiedziałam do matki. – One nigdy nie odejdą.

Znów mnie objęła. Żle mnie zrozumiała. Nie chodziło mi o to, że będziemy o nich pamiętać, tylko że kobiety w naszej rodzinie nie umierają. Przeciwnie. Babcia i prababcia to dopiero teraz zaczynają się panoszyć. W życiu się od nich nie uwolnimy. Niestety.

Mama zdawała się nie dostrzegać, że babcia i prababcia wciąż żyją. Co więcej, ignorowała ewidentne dowody na istnienie życia

pośmiertnego. Zdjęcia, które zmieniały samoistnie miejsce, po prostu przesuwiała. Obrazy, które się krzywiły, poprawiała. Czyniła to automatycznie, niestrudzenie, jakby nie widząc, że babcia lub prababcia (posądzam raczej prababcie, ona nie lubiła surowej zimowej grafiki) przekrzywią je, gdy tylko odwrócimy oczy. Po powrocie ze szkoły zastawałam dom w ruinie (jak by powiedziała babcia). Fotel był ustawiony naprzeciwko telewizora, ulubione szale spoczywały na kanapie, w zasięgu starczych rąk. Zdarzało się, że z szafki wychodził sok malinowy i nalewał się do ulubionych kubeczków w sikorki. Te kubeczki przywędrowały ponoć z Rosji, gdzie prababcia przebywała w bliżej mi nieznanymi okolicznościach.

– Mamo, babcia nabałagała – żaliłam się.

– Nie pleć bzdur – mówiła matka i chowała, poprawiała, wyrównywała.

Musiła mi jednak wierzyć, bo nigdy, przenigdy nie powiedziała, że to ja jestem sprawczynią tych zająć. Nie inaczej się działo, kiedy zostawałyśmy same w domu. W owych czasach, gdy byłam mała, istniało jeszcze coś takiego jak długie zimowe wieczory. Zdarzały się głównie jesienią i zimą i polegały na tym, że czas się dłużył. W obecnych czasach już ich nie ma. Zniknęły z kalendarza w czarnych dziurach portali społecznościowych. Obawiam się, że bezpowrotnie.

W jeden z takich wieczorów, a tego dnia przypadała akurat miesięcznica śmierci babci, bodajże siódma, światło zaczęło gasnąć i zapalać się, w szafie skrzypiało, w podłodze dudniło. Wreszcie drzwi się otworzyły i uderzyły w ścianę.

– Babcia! – wykrzyknęłam.

– Elektrownia – powiedziała matka.

– Prababcia! – próbowałam.

– Przeciąg – westchnęła.

Popłakałam się. Nie ze strachu, ale z niemocy. Czemu one nam to robiły? Czemu ona mnie to robiła?

– Nie płacz, skarbie. – Matka znowu źle odczytała moje uczucia. – Babcia i prababcia są w lepszym świecie. Patrzą na nas z góry i nie chciałyby, żebyśmy płakały.

Po czym sama odłożyła druty (mój sweter, który usiłowała dokończyć, ale nigdy tego nie zrobiła) i popłakała się, ale już na innszą intencję.

– Mateńko – chlipnęła. – Co my teraz zrobimy?

Prababcia lub babcia (raczej babcia, prababcia tego nie cierpiała) trzasnęła drzwiami, ale ja już nic nie mówiłam. I tak nikt mi nie wierzył. Z czasem tych trzaśnień było coraz mniej, co absolutnie nie znaczy, że prababcia i babcia zostawiły nas w spokoju. Raczej przeniosły się do kuchni i zajęły przestawianiem kubków oraz przesypywaniem pieprzu do solniczki i soli do pieprzniczki.

– Może pójdziemy na grób zapalić im świeczkę? – zasugerowałam.

Lubiłam cmentarze, tam przynajmniej babcia i prababcia były przytłoczone przez inne martwe ciała. Musiały się liczyć z sąsiednimi umarlakami, więc nie mogły robić nam numerów. I nie robiły. Nie gasiły świeczek, nawet na wietrze, nie dawały głupich znaków. Trzymały gardę zupełnie martwe. Jak przyzwoite kobiety. To moja kolejna refleksja życiowa. Umarły liczy się tylko z innymi martwymi. A żywi boją się umarłych bardziej niż żywych. Zaskakujące.

– Lilu, jest wieczór... – zdumiała się matka. – Chcesz teraz iść na cmentarz?

No tak. Zapadł wieczór. W telewizji leciał ulubiony serial babci, na innym kanale w tym samym czasie ulubiony program prababci. Za życia kłóciły się, która obejrzy swoje. To dlatego tak stukały i pukały. Chciałam powiedzieć o tym mamie, ale patrzyła w przestrzeń, a wtedy lepiej było nie zaczynać z nią poważnych dyskusji.

– Może w najbliższą niedzielę? – Uśmiechnęła się przez łzy.



W niedzielę to już nie będzie to samo. Zwłaszcza rankiem. Kiwnęłam jednak głową.

Doczesne ochędóstwo babci i prababci także stanowiło problem, którego matka nie widziała. W domu stały trzy szafy. A właściwie dwie, tylko jedna – na całą ścianę. Tę właśnie zajmowały babcia z prababcią, a małą, w korytarzu – ja i mama. Po śmierci prababci nic nie zostało z tej szafy wyjęte i oddane, podobnie po śmierci babci. Zastanawiałam się czemu. Czy nie trzeba by oddać wszystkich rzeczy do jakiegoś zakładu opieki społecznej?

– Jaki zakład opieki społecznej potrzebuje ubrań twoich babć? – mruknęła matka, kiedy ją o to spytałam.

– Tak się robi, żeby pożegnać się ze zmarłymi – powiedziałam.

– Nie pyskuj. – Mama popatrzyła na mnie przeciągle.

Nie pyskowałam, chociaż wtedy zrozumiałam, że chociaż masz rację, ale nie jest to wygodna racja, dorośli twierdzą, że jesteś bezczelna.

– Nie pyskuję – powiedziałam poważnie. – Trzeba oddać rzeczy babci i prababci. One by tego chciały.

Guzik prawda. Nie miałam pojęcia, czy by tego chciały. Po czyjejś śmierci zazwyczaj mówimy, że umarły patrzy z góry albo chciałby tego czy tamtego. Nam, żywym, to pasuje, martwi nie są w stanie się bronić. Nie mogą zaprotestować, jeśli karczujemy ich ulubiony ogród, twierdząc, że oni by tak chcieli. Nie mogą zaprzeczyć słowom „nie rób tego, oni na pewno by tego nie chcieli”. Są bezsilni wobec naszego „babcia chciałyby, żebyśmy się cieszyły”. Moja babcia i prababcia nie umarły, dlatego ani się nie broniły, ani nie protestowały. Przeciwnie. Obie sobie siadły na fotelikach (pознаłam to po szalu babci, który zawędrował na podłokietnik) i patrzyły, jak mama męczy się z zawartością ich szafy. Bo ona w końcu się na to zdecydowała.

– Pomożesz mi, Lilu? – spytała zrezygnowana.

Najwyraźniej taka praca ją przerastała. Ja miałam dwanaście lat, ale szybko bym się z tym uporała. Po prostu wszystko, jak leci, wpakowałam do wora i zawiozła do najbliższego szpitala. Czemu do szpitala? Słyszałam, jak jedna sąsiadka o tym mówiła. Mąż jej umarł i opowiadała innej sąsiadce, że „zebrała wszystkie rzeczy Kazika i zawiozła do szpitala”. Proszę pani, czy pani wie, że oni bardzo się ucieszyli? Bo tam, niech sobie pani wyobrazi, trafia mnóstwo bezdomnych i oni nie mają się w co ubrać. Właśnie. Przychodzą z tymi swoimi zasikаныmi rzeczami i wkładają piżamy, a potem, gdy wychodzą, to wie pani, nie dają im przecież tych zaszczypanych szmat.

Wszystko wiedziałam. Zaszczane szmaty. Bezdomni. Nieważne, że w życiu nie widziałam bezdomnej kobiety.

– Trzeba zawieźć do szpitala – doradziłam.

Właśnie. Należało zrobić dobry uczynek i pomóc nieszczęsnym bez dachu nad głową. Skoro nie mieli domu, to niechby chociaż odszykowali się w ubrania babci i prababci.

– Co ty znów mówisz? – zdumiała się matka. – A komu przypadną do gustu rzeczy po prababci?

– To co z nimi zrobimy? – spytałam.

Matka wzruszyła ramionami, a potem zaczęła zdejmować ubrania z wieszaków, sztuka po sztuce. Zachowywała się przy tym niczym pani w sklepie. Unosiła poszczególne fragmenty garderoby, oglądała dokładnie, jakby chciała je ocenić pod kątem ewentualnego zużycia tkaniny, a potem składała starannie na kupkę na tapczanie. I tak po kolei, bluzka po bluzce, spódnica po spodnicy. Ja uciekałam w pewnym momencie, bo po pierwsze, znudziłam się, po drugie, głupio było tak stać i patrzeć, a po trzecie, rzeczy prababci wydzielały dziwny słodkawy zapach, od którego robiło mi się słabo. Zaczęłam oglądać telewizję, chyba jakiś odcinek telenoweli, tej pierwszej, która zapoczątkowała niekończący się pochod naiwnych historyjek o życiu niebędącym życiem. Wreszcie mama

przyszła do pokoju, usiadła koło mnie i razem wysłuchałyśmy wieczornych wiadomości.

– Pomóc ci, mamusiu? – spytałam po niewczasie.

– Dziękuję, skarbie, już sobie poradziłam – odpowiedziała spokojnie.

Przed snem zaszłam do pokoju prababci i babci i nigdzie nie znalazłam stosu bluzek i spódnic, który powinien piętrzyć się gdzieś na podłodze albo spoczywać upchany w worki. Otworzyłam drzwi od dużej szafy i zobaczyłam to, czego się spodziewałam. Wszystko wisiało na wieszakach, jakby nigdy ich nie opuściło. Zza pleców dobiegł mnie cichy chichot.

– Po co ci te rzeczy? – spytałam, odwracając się gwałtownie.

Na fotelu jednak nikt nie siedział, a szal leżał na podłodze. Nie podniosłam go im na złość. Niech sobie same sprzątają.

Podczas wizyt na cmentarzu naszła mnie refleksja. Grób był pojedynczy. Pierwsza umarła prababcia i złożono ją do mogiły. Gdy zmarła babcia, rozkopali trochę i położyli trumnę na tej poprzedniej, która nie zdążyła się rozłożyć w miesiąc. Babcia leżała na prababci.

– Ile czasu trzeba, żeby trumna się rozpadła?

– Cóż to za pytanie? – nie odpowiedziała matka.

– A kiedy babcia wpadnie do prababci? – dopytywałam.

Teraz były związane jedynie duchowo. Ciekawiło mnie, po jakim czasie połączą się ich kości.

– Lila, przestań pleść! – Podwyższyła ton.

Potem zaczęła płakać i dopadły mnie wyrzuty sumienia, bo znów mówiła coś o mateńkach.

– Mamo, czy my nigdy nie oddamy rzeczy po babci i prababci? – Pogłaskałam ją po ramieniu.

– Oddamy. Chodź, bo zimno.

Naprawdę liczyłam na to, że odejdą – jeśli nie z domu, to przynajmniej z tej wielkiej szafy. Wieczorem prababcia zaczęła

skrzypiec szafą jak najęta. Nie wytrzymałam i znów spytałam o ubrania i pamiątki.

– Nie rozumiem cię, Lilu. – Matka oderwała wzrok od robótki (to nie był ten mój sweter, tylko jakiś szalik, nie mam pojęcia dla kogo robiony). – O czym ty mówisz?

Zamiast z nią polemizować (nie dałabym rady, miałam tylko niecałe trzynaście lat), podeszłam do szafy i otworzyłam ciężkie skrzydła. Była pusta.

Dni mijały mi jak we śnie. Czasami wydawało mi się, że sen jest jawą, a rzeczywistość rodzi się w mojej pograżonej w objęciach Morfeusza głowie. To o Morfeuszu wymyśliłam nie teraz, tylko wtedy. Bardzo interesowałam się mitologią. Najbardziej ludzkim aspektem tychże bogów. Złośliwych, wrednych, okrutnych. Podobnych do babci i prababci. One nie były okrutne (przynajmniej wtedy o tym nie wiedziałam), ale na pewno złośliwe (babcia) i wredne (prababcia). Przypominały greckie boginie. Nieśmiertelne staruchy panoszące się wszędzie, zamieniające życie młodych bogiń w piekło.

Wypełniały moje sny. Często kładłam się głodna, bo nie chciało mi się zrobić sobie kolacji albo obiad mi nie smakował (nie cierpię mielonych, które mama robiła z upodobaniem, zamrażała i rozmrażała, i tak w kółko), a z mojej głowy wyzierały przodkiny. Właziły w moją podświadomość i mąciły mi myśli. Były niczym Erynie wyżerające innym jedzenie. Budziłam się zmęczona, z przerażeniem rozglądając się dokoła. Powinnam poczuć ulgę, pomyśleć „dzięki Bogu, to tylko sen”. Tak jednak się nie działo. Na jawie były jeszcze gorsze, chociaż nieżywe.

– Mamo, czy mogłabyś nie gotować kotletów mielonych? – prosiłam, mając złudną nadzieję, że owe kotlety są odpowiedzialne za moje złe sny.

– Kotlety się smaży, nie gotuje – odpowiadała wymijająco.

– Czy mogłabyś ich nie smażyć? – upierałam się.

– Nie grymaś, babcia by się gniewała – mówiła nieuważnie.

– Proszę, mamu, po nich mam złe sny...

Wpatrywałam się w nią, ale ona unikała mojego wzroku.

– To śmieszne – rzuciła w końcu, a ja nie byłam pewna, czy mówi tak, gdyż śmieszy ją związek między mielonymi a fazami snu, czy też uważa, że po innym daniu śniłabym podobne koszmary.

– Proszę... – Sięgnęłam po to słowo klucz, które w naszym domu nigdy nie otwierało żadnych drzwi. – Proszę... – powtórzyłam szeptem.

Nie słuchała, pogrążona we własnych myślach. A więc dziś w nocy jedna lub druga znów przyjdą mieszać mi w głowie.

– Dobrze, Lilu – powiedziała matka nieoczekiwanie. – Wolisz schabowe? Pierogi? Pracuję i nie mam czasu, żeby codziennie gotować.

Nie cierpiałam pierogów, a po schabowych przychodziły obie jednocześnie, i tego nie dało się przespać.

– Wolałabym zupę albo gulasz. Czemu u nas nigdy nie ma zupy? Jadłam kiedyś u pani Hani barszcz ukraiński. Taki dobry...

Pani Hania to nasza sąsiadka. Już nie pamiętam, czemu się u niej znalazłam, coś się stało z moim kluczem. Poczęstowała mnie barszczem. Cudowny smak.

– Albo krupnik... – próbowałam.

Jadłam go raz na wycieczce szkolnej. Dzieci wybrzydzały, że okropny, pewnie wołały rosół, ale ja jadłam z wielkim apetytem. Nie umiem powiedzieć, co było moją ambrozją. Krupnik czy barszcz ukraiński. A może pomidorowa? Ta sama co ze stwierdzenia, że „ktoś nie jest zupą pomidorową, żeby wszyscy go lubili”.

Matka popatrzyła na mnie przelotnie.

– Babcia i prababcia nie lubiły zup? – Postanowiłam iść na całość.

– Prababcia po zesłaniu na Sybir jadła tam głównie rzadkie wywary z buraków i ziemniaków. Gdy znalazło się trochę kaszy, to miała święto.

To tym bardziej powinna lubić krupnik. Nie wiedzieć czemu, napełniło mnie to nadzieją.

– Prababcia była zesłana na Sybir? – Odłożyłam widelec. – Kiedy? Dlaczego? Opowiedz, proszę...

– Głodowała tam i jadła zupy... Dlatego nigdy ich nie jemy. Co tam zupy.

– Ale opowiedz o tej Syberii! Proszę, proszę...

Słowo klucz, które niczego nie otwiera.

– Nie teraz, Lila, bo mam robotę. Z butów wyrosłaś, trzeba kupić nowe.

Trzymać się tematu zupy. Może to coś da.

– A babcia?

Żywiłam złudną nadzieję, że może ona lubiła barszcz.

– Babcia głodowała w czasie wojny. Przestań mnie już męczyć – powiedziała mama.

– A gdzie babcia przebywała w czasie wojny? Walczyła w powstaniu warszawskim? Odbijała Rudego?! – ekscytowałam się.

– Nie chcę o tym mówić! – prawie krzyknęła.

Zdumiało mnie to. Na co dzień mama była spokojna, stonowana, przezroczysta raczej. Nigdy nie słyszałam jej krzyczącej. Łzy nabiegły mi do oczu. Przecież nie chciałam jej urazić.

– Mamo, ale one nie żyją. Czy nie mogłabyś mi zrobić zupy? – jęknęłam.

– To śmieszne, co mówisz – wycedziła. – Jesteś śmieszna i niegrzeczna. To śmieszne. Jedz natychmiast!

Trzy razy powtórzyła słowo „śmieszne” w odniesieniu do mnie. Obraziła mnie.

– Dlaczego śmieszne? – Odsunęłam stanowczo talerz z le-dwie nadgryzionym mieloniakiem i całą górą ziemniaków oraz surówki.

Bez słowa go sprzątnęła, chociaż od kilku lat to ja po posiłku zbierałam talerze, myłam je i wycierałam. Następnego dnia dostałam ten sam nadgryziony kotlet. Matka już nie rozmawiała ze mną podczas obiadów. Sama nie jadła w ogóle albo stołowała się w pracy. Lubiłam sobie wyobrażać, jak w stołówce spółdzielni mieszkaniowej, w której była sekretarką, zamawiała na przemian barszcz, krupnik oraz pomidorową.

Nie znałam smutniejszego domu niż nasz. Nie znałam, co prawda, to prawda, wielu innych domów, zatem i skalę porównawczą miałam niewielką. Dwie sąsiadki, które odwiedzałam, panie Hania i Halinka, posiadały podobne mieszkania co my, tyle że mniejsze. My zajmowałyśmy całe skrzydło na parterze starego domu na Tamce. Wchodziło się do nas i wpadało w długi korytarz z czterema pokojami. Pierwszy, najmniejszy, należał do prababci, drugi do babci, trzeci do mamy, czwarty do mnie, piąty stanowił mały salonik. Na końcu korytarza znajdowała się mała kuchnia, a na wprost łazienka. Pani Halinka zajmowała lokum z dwoma pokojami. Była wdową z dorosłymi dziećmi, które czasami odwiedzały ją w niedzielę. Urządziła się skromnie, można powiedzieć praktycznie. Łóżko, kapa robiona na drutach, okrągły stół, krzesła, fotele. Wszystko takie porządne, bez polotu, ale nie tchnęło nostalgii. Nawet zimowy krajobraz wiszący na ścianie nie był taki smutny jak nasz. Zdjęcia dzieci i wnuków stały na stolikach i także nie sprawiały wrażenia wspomnień z odległego świata, którego już nie ma. Może dlatego, że te dzieci i wnuki wciąż żyły. To ważne, czy osoba na zdjęciu żyje czy nie. Naturalnie dla tego, kto ogląda. Dla mnie owszem. Do dziś jest. Pisałam pracę magisterską z postrzegania i eksponowania zdjęć przodków w różnych kulturach. Obroniłam się z najwyższą

notą. Mama nawet nie otworzyła tej pracy, chociaż jej sto razy proponowałam.

Pani Hania mieszkała na samej górze. Uważałam, że miała piękne mieszkanie. Kiedy się do niej wchodziło, z korytarza bił blask. Tyle tam było światła. We wszystkich trzech pokojach wisiały duże kryształowe żyrandole, a w każdym rogu pokoju stała lampa. Trzypokojowa jasność przeciwstawna do naszych pięciopokojowych mroków. Już samo to zachęcało. Poza tym u pani Hani stały meblościanki, na półkach książki z kolorowymi grzbietami, a za szybką kryształy. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że wyglądało to kiczowato i ohydnie, a nasz dom był urządzony skromnie, ale z wielkim gustem. Wtedy jednak sądziłam inaczej. Pani Hania miała cudnie, my okropnie. Pani Halina i Hania mieszkały w wesołych mieszkaniach, my w smutnym.

– Jaki właściciel, takie mieszkanie – mówiła mama, wzruszając ramionami.

– A czemu ona ma tyle kryształów, a my nie? – pytałam.

– Ona jest żoną wysokiego urzędnika partyjnego – nie odpowiedziała wprost na moje pytanie, a przynajmniej ja nie zrozumiałam odpowiedzi, bo nie wiedziałam, że partia przynosi kryształy, meblościanki i żyrandole.

– A czemu my nie mamy kryształów?

– Mamy więcej książek niż ona – burknęła, jak zwykle unikając odpowiedzi. – I czytamy je.

To prawda, miałyśmy więcej książek, chociaż nie takich kolorowych. Nie klóciłam się, bo u pani Hani nie było książek dla dzieci i młodzieży. Jej córki wyszły za mąż i wyprowadziły się za granicę. Jedna do bratniej Czechosłowacji, druga do równie bratniej Bułgarii. Może zabrały ze sobą swoje książki? Na półkach zostały zielone encyklopedie, złote leksykony i czerwone słowniki języka polskiego. Poza tym białe Mickiewicze, żółte Słowackie i, nie pamiętam jakiego koloru, dzieła Sienkiewicza.



– Wszystko na talony – powiedziała mama.

Książka na talony to nie prawdziwa literatura. To była moja kolejna obserwacja.

– Czy my mogłybyśmy mieszkać w innym domu? – spytałam którejś soboty.

Odkurzałam wszystkie pokoje elektroluksem i ścierałam kurze. Mama myła łazienki i kuchnię. Trwało to kilka godzin. Biorąc pod uwagę, że nie korzystałyśmy z pokoiów babci i prababci, mogłyśmy równie dobrze wyprowadzić się z tego pięciopalczastego lokum i zająć mniejsze. Bez pani Hani i pani Halinki, ale one nie stanowiły jakiejś wielce stałej wartości w naszym życiu. Bez szkoły, w której nie miałam koleżanek, o kolegach nie wspomnę. Bez lekcji religii w pobliskiej parafii, na których bałam się groźnej i bardzo surowej siostry Grażyny. Jak cudowne byłoby życie z dala od Tamki. Może babcia i prababcia nie zdołałyby znaleźć nowego adresu i nie przeprowadziłyby się z nami? Już sama myśl mnie ekscytowała.

– Bzdury. – Mama przecierała kuchenny blat mokrą ściereczką. Nawet się do mnie nie odwróciła.

– Dlaczego bzdury? – zapytałam. – Czy my potrzebujemy tak dużego mieszkania? Długo się sprząta, dwa pokoje puste, a...

– Bzdury mówisz – ucięła matka.

W końcu odwróciła się do mnie i widząc moją zaskoczoną minę, pojęła, że w moim pytaniu nie kryła się ani ocena jej życia, ani krytyka jej osoby. Po prostu. Czternastoletnie dziecko pytało, czy nie możemy mieć trzech pokoi. To wszystko.

– To mieszkanie kwaterekowe – wyjaśniła łagodniejszym tonem. – Babcia dostała je po moim urodzeniu. Takie duże, bo akurat... była taka możliwość. Tak to się stało.

Takie, taka, tak. Czyli w zasadzie nie odpowiedziała. Czemu młoda, trzyosobowa rodzina ze starą matką na utrzymaniu dostała tak ogromne mieszkanie w trudnych czasach?

– Bo nie najlepsza lokalizacja... – odpowiedziała usprawiedliwiająco, bo musiałam mieć wypisane na twarzy swoje pytanie. – To wciąż nie jest najlepsza lokalizacja...

Przecież nie dlatego chciałam się wyprowadzić. Lokalizacja mi pasowała. To mieszkanie stanowiło dla mnie ciężar. A właściwie jego dzikie lokatorki.

– Ojciec... zasłużył się w czasie wojny – dodała po chwili. – Zasłużony. Dlatego dostał takie mieszkanie. No i był marynarzem i zginął na służbie socjalistycznej ojczyźnie. Oczywiście wzięli babcię ze sobą. Wtedy już owdowiała.

Mówiła o mojej prababci.

– A kiedy umarł pradziadek?

Może udałoby się odtajnić chociaż część skrywanych przede mną tajemnic. Ścisnęłam rurę od odkurzacza.

– Dziesięć lat po powrocie z Syberii – powiedziała. – Może ci wydać, że to długo, ale to niewiele. Nie zdążył specjalnie zakosztować wolności.

– A na co zmarł dziadek? – pytałam.

Wiedziałam tylko, że zmarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Czyli nie bardzo młodo, chociaż tuż po spłodzeniu mojej mamy. Ostatnio oglądałam film o modliszkach i tak mi się coś skojarzyło. Dziadek sprawił, że powstała mama, i potem umarł. Wyobraziłam sobie, jak babcia odgryza mu głowę. Fuj.

– Na gruźlicę. Nabawił się w czasie wojny. Nie było antybiotyków, a potem już miał zniszczone płuca – powiedziała, jeszcze zanim poświęciła się całkowicie szafkom. Zbliżały się święta, więc należało wymienić papier wyściełający półki.

– Mamo, a jeśli ty umrzesz? – spytałam. – Co się ze mną stanie?

Powinna się odwrócić, zejść ze stołka, podejść, przytulić mnie. Zapewnić nastoletnią córkę, że nie umrze, przynajmniej nie do czasu, aż osiągnę pełnoletność.

– Co za bzdury – ponownie nie odpowiedziała.

Nie zamierzałam tak łatwo dać za wygraną. Bzdury – to słowo, które uciñało wszelkie dyskusje w naszym domu. Nie tym razem.

– To nie bzdury, przecież może ci się coś stać. Sama mówiłaś, że jakaś twoja koleżanka wpadła pod samochód. Wracała z pracy i wpadła pod samochód.

– Moja koleżanka, nie ja. Bóg nie pozwoli, żebym umarła, zanim będziesz pełnoletnia. Nie zabiorą ci mieszkania.

Nie o to mi chodziło. Nie chcę tego mieszkania.

– A jeśli tak, czy pójdę do domu dziecka jak tata?

Odwróciła się gwałtownie. Miała coś takiego we wzroku, że się przeraziłam.

– To było co innego. I nie mów o nim.

– Dlaczego? – Odłożyłam odkurzacza na bok. – Dlaczego nie mogę o nim wspominać?! Czemu nie mamy ani jednego jego zdjęcia?! Czemu o nim zapomniałaś?!

Teraz pewnie ja miałam w oczach coś strasznego, bo jej twarz złagodniała.

– Nie umrę, Lilu – zapewniła mnie spokojnie. – Wiem to. Po śmierci babci poszłam do wróżki i ona mi powiedziała, że będę długo żyła.

I to wszystko. Wróżka jej powiedziała, że nie umrze. Mogłam spokojnie wrócić do odkurzania pokoi. Ona wróciła do pótek. Milczałam, wpatrując się w nią intensywnie. Nie odwróciła się już. Dotrzymała też słowa. Umarła w dzień moich trzydziestych urodzin na raka narządów rodnych.

Prababka, babka, matka i córka zmagają się z przeszłością. Maria podążyła za mężem zesłańcem na Sybir. Sabina była więźniarką obozu koncentracyjnego Ravensbrück, przebywała na bloku, gdzie dokonywano eksperymentów medycznych na kobietach. Magdalena straciła ukochanego i samotnie wychowywała córkę w PRL-u. Lila żyje z piętnem dziecka niekochanego i uwikłanego w tajemnice. Każda z nich mierzy się z macierzyństwem w innych okolicznościach i dla każdej jest to doświadczenie przełomowe. W domu bez mężczyzn kłębią się sekrety, niewyjaśnione historie opowiedane przez żywych i martwych. Pod wpływem tych opowieści najmłodsza z bohaterek zastanawia się, jakie dziedzictwo przekaże swoim dzieciom. Próbuje poznać przeszłość, ale co chwilę natrafia na mur niedopowiedzeń, kłamstw i przeinaczeń. Czy wystarczy oswoić własną historię, żeby przewyciężyć strach przed bliskością?

**Cztery kobiety, których losy przeplatają się z historią XX wieku. Cztery naznaczone traumą matki. Cztery córki, które borykają się z rodzinną historią i próbują odkryć własne korzenie.**

Zostałam porwana przez historię kobiet: prababki, babki, matki oraz córki. Cięży nad nimi stara kłątwa. Każda z nich ukrywa prawdę o swojej przeszłości. *Matki i córki* to niesamowita, wzruszająca podróż w czasie. Smutno mi było rozstawać się z bohaterkami.

**Katarzyna Berenika Miszczuk, autorka cyklu „Kwiat Paproci”**

cena 37,90 zł

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



w sprzedaży także

eBOOK

PATRONAT MEDIALNY



[lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)